

## Kontakty mojej rodziny z Rosją

Olimpiada Sportowa w Soczi, Złote Medale, zdobyte przez Kamila Stocha, Justynę Kowalczyk i Zbigniewa Bródkę, siedmioletnia budowa ośrodka sportowego, budowanego podobnie jak Petersburg, a więc analogia Soczi i Petersburga, gdzie jeszcze przed rewolucją październikową mieszkała wraz z mężem i z dwojgiem dzieci, siostra mojego dziadka, przekonały mnie, że powinnam napisać o związkach mojej rodziny z Rosją i z Rosjanami, które znam bardzo dobrze, gdyż wielokrotnie mi je opowiadali moi dziadkowie.

Na wstępie parę słów o rodzinie. Jest ona najważniejszą wartością w życiu człowieka, a każda ma swoją historię, czyli sagę, często tajemniczą, romantyczną lub tragiczną, a czasem i jedną, i drugą. Warto znać swoje drzewo genealogiczne i warto je opisać, a więc podzielić się wielopokoleniowym życiem z innymi, a szczególnie z młodym pokoleniem, by młodzi uczyli się jak żyć, bo choć przeczytaliśmy wiele książek, życie nigdy nie będzie zgłębione do końca.

Bywa, że rodzice przekazują swoje doświadczenie dzieciom, które korzystają z ich rad, inne nie chcą korzystać, kierują się swoim rozumem, ucząc się na błędach, a gdy nieco zgłębią tę najtrudniejszą sztukę, jest już za późno, bo życie jest chwilą we wszechświecie, dlatego dany nam czas i zdolności należy wykorzystać do maksimum.

Nie można żyć tylko konsumpcyjnie, trzeba ciągle rozwijać swoją duchowość, bywa, że niektórzy z nas pod koniec życia stwierdzają „Zmarnowałem życie, nie zaznałem szczęścia” Mówią to czasem i ci, którzy żyli w luksusach.

Dlaczego tak mówią? Myślę, że tęsknią za tym, czego jeszcze nie zaznali, za mało mieli czasu. Nawet bardzo starzy ludzie uważają, że ich życie jest tak krótkie, jakby ktoś otworzył i nagle zamknął drzwi. Taka jest natura człowieka, który chciałby żyć wiecznie. A dane jest nam tylko zakosztować życia, a nie nasycić się nim do końca. Uważam, że historia każdej rodziny zasługuje na uwagę. „O przeszłości nie pisze się dla niej samej, lecz dla przyszłości, a raczej dla człowieka ponadczasowego.”

W mojej rodzinie, aż trzy pokolenia miały kontakty z Rosją. Zacznę od najstarszych, od moich dawno już nieżyjących: dziadka i babki.

Stary dom po rodzicach mojego dziadka, Józefa Berdaka, krył w sobie smutną historię. Będąc dzieckiem, często odwiedzałam moje dwie ciotki Anielę i Zofię, mieszkające w tym domu.

Rodzice dziadka mieli kilka hektarów pola i pięcioro dzieci; cztery córki i jednego syna. Należeli do zamożnych ludzi we wsi. Niestety nagle zmarł ojciec w wieku 45 lat.

Została wdowa z gromadką dzieci, zupełnie bez środków do życia, bo brat jej męża, a stryj dzieci zawłaszczzył ziemię po zmarłym bracie. Marcin Berdak, ślepy na jedno oko, nie miał litości, zostawił rodzinie tylko stary dom i mały skrawek ziemi, otaczający chatę, krytą słomą. Wdowa nie miała pieniędzy, by się procesować. Chciał jej przyjść z pomocą pop ze szczebrzeszyńskiej cerkwi, obiecał, że na pewno wygra sprawę pod warunkiem, że wdowa wraz z dziećmi przejdzie na religię prawosławną, ale kobieta się nie zgodziła.

Po wielu trudach i chorobach, rodzinie przyszła z pomocą hrabina Zamoyska; piętnastoletniego Józefa oddała do terminu kowalskiego, do Stanisława Klimka,

do Biłgoraja, córki do Szkoły Podstawowej do Szczebrzeszyna. Aniela po ukończeniu szkoły nauczyła się krawiectwa. Trochę też pracowała jako nauczycielka w Zaburzu. Bardziej jednak odpowiadała jej praca krawcowej. Zofię zatrudniono w pralni przy pałacu w Michalowie, a Różę i Annę w pałacu Zamoyskich w Warszawie.

Mój dziadek, Józef Berdak, gdy uzyskał kowalski dyplom rzemieślniczy, podjął pracę w kuźni Jana Pańczyka, który miał cztery córki i syna Stanisława. Obaj chłopcy już od najmłodszych lat żyli w przyjaźni. Odtąd warunki rodziny Józefa nieco się poprawiły, a on zakochał się w najpiękniejszej z córek Pańczyka, Katarzynie i marzył o małżeństwie.

Niestety Jan Pańczyk po paru latach, mając na uwadze lepsze warunki życia, za poradą swoich szwagrów, a szczególnie Franciszka Szewczyka, postanowił wraz z rodziną wyjechać do Rosji. To był to okres zaborów. Sprzedał więc dom, budynki gospodarcze i kilka hektarów ziemi. Z uzyskanymi pieniędzmi furmankami wyruszyli w drogę. Podróż była bardzo długa i niebezpieczna. Po wielu trudach dotarli do dużego miasta Orła, a stamtąd do wsi Konubry. Tam Jan Pańczyk, kupił dom, budynki gospodarcze, ziemię orną i trochę lasu, wybudował też kuźnię. Wraz z synem Stanisławem wykonywali roboty kowalskie, a także uprawiali rolę. Rodzinie dobrze się powodziło, czym zwracała uwagę Rosjan. Dziewczęta gustownie i ładnie ubierały się. Wkrótce znalazł się konkurent do ręki Kasi. Był nim rosyjski porucznik Sasza Demianin, oświadczył się dziewczynie i prosił ojca o zgodę na małżeństwo. Niestety ojciec był przeciwny, czekał na zięcia Polaka, a i Kasia miała w sercu innego.

A mój dziadek, będąc w Polsce nie miał żadnych wiadomości o losie rodziny Pańczyków, bardzo tęsknił za ukochaną dziewczyną.

Jako kowal pracował u swojego mistrza Klimka w Biłgoraju i choć w tym mieście poznał wiele dziewcząt, ciągle myślał o Katarzynie. Szukał więc sposobu, jakby ją odnaleźć. Wypytywał o nią krewnych Pańczyków i różnych ludzi. Niestety nikt nic nie wiedział.

Mawiał – Odnaleźć ją , to tak, jakby szukać szpilki w stogu siana. Rosja jest taka wielka.-

Wreszcie zaświtała mu myśl, że przecież jego siostra Róża Stühler od kilku lat mieszka w Petersburgu. Na pewno też zna wielu Polaków, może oni coś wiedzą o jego ukochanej, a pisanie listu i czekanie na odpowiedź będzie zbyt długo trwało. Zdecydował, że napisze list do siostry, trochę poczeka, by ona rozeznała się w jego sprawie i pociągami pojedzie do niej, do Petersburga, przecież ma jej adres – Koniec języka, za przewodnika – mawiał zakochany i odważny młodzieniec.

I tak zrobił, wyruszył w nieznaną drogę. Po długiej podróży dotarł do Petersburga. Największe trudności miał z odnalezieniem domu, w którym mieszkała jego siostra z mężem i z dwojgiem dzieci. W końcu odnalazł rodzinę.

Radość była wielka, łzy szczęścia popłynęły z oczu rodzeństwa.

- Wreszcie mam mojego, jedyne, ukochanego brata. Przywiozłeś mi ze sobą Polskę. Moje dzieci, choć w szkole posługują się świetnie językiem rosyjskim, w domu mówią po polsku. Aleksander chce być oficerem, jak jego ojciec, Marysia nauczycielką. Jestem szczęśliwa, mam udaną rodzinę.

Józiu, otrzymałam twój list pełen rozpaczy, ale i miłości i wierności. Jesteś jak Don Kichot, poszukujący Dulcynei albo jak Romeo, który utracił Julię. Przecież w Polsce w każdym mieście i, w każdej wsi jest tyle pięknych dziewcząt, a ty tułasz się po świecie i szukasz Kasi jak w korcu maku. –

- Siostrzyczko, nie ma słów, którymi mógłbym wyrazić ogrom miłości. Ona ma wielką moc, pomogła mi pokonać trudy podróży i działa jak narkotyk. Nie ma nic piękniejszego ponad jej czar, ona jest silniejsza niż śmierć. Ja muszę ją odnaleźć, ale czy masz jakieś

rozeznanie o losach polskich emigrantów ? – zapytał brat.

- Nie na tyle, bym mogła coś wiedzieć o twojej ukochanej. Rozpytywałam wśród naszych tu, w Petersburgu, dowiedziałam się, że duża część Polaków, przybyłych z Lubelszczyzny, osiedliła się w okolicach miasta Orła na wsiach, bo to przecież najczęściej są rolnicy. W Orle mieszkają moi znajomi, dam ci do nich adres, w drodze powrotnej do Polski, wstąpisz do nich, może Ci pomogą. -

- Świetnie – uradował się brat – to już coś mamy. Długo u ciebie nie zabawię, udam się do Orła, do twoich znajomych. Mam przecucie, że jestem na dobrej drodze, a w tobie siostrzyczko, oparcie. –

- Józiu, doprawdy zachowujesz się jak szalony, dopiero przyjechałeś, a już chcesz nas opuścić.

Musisz się nacieszyć moją rodziną, poznać piękne i zabytkowe miasto, do którego przybyłeś po raz pierwszy, i nie wiem, czy jeszcze kiedyś tu będziesz.

Petersburg to niesamowite miasto, wielki port nad Zatoką Fińską, liczy prawie dwa miliony mieszkańców, ośrodek przemysłowy, kulturalny i naukowy, węzeł komunikacyjny.

Posiada uniwersytety, muzea, a największe muzeum to Ermitaż, jest też Pałac Zimowy, twierdza Petropawłowska z soborem, Giełda Morska, sobór Kazański, pałace Senatu i Synodu, a ile teatrów, parków, placów, pomników, nie sposób wszystkiego zapamiętać i wymienić.

Nie wiem, czy damy radę tak wiele obejrzeć, a i udźwignąć to wielkie i niespotykane piękno, którym nasycimy nasze dusze po brzegi.

Wiem, że kochasz zabytki, lubisz podróżować i zwiedzać, to twoja pasja, którą zapamiętałam na zawsze. Masz więc okazję zobaczyć to, czego oko nie widziało, a miliony ludzi nigdy nie obejrzy. Myślę, że obrazy tego miasta na zawsze zapadną w twoją duszę.

-Siostrzyczko zgadzam się, ale jeszcze chciałbym się dokładnie dowiedzieć, jak to się stało, że znalazłaś się tak daleko od Polski. Wprawdzie co nieco pisałaś w listach, ale chciałbym się dowiedzieć trochę więcej.-

- Otóż wiadomo ci, że razem z siostrą Anną byliśmy zatrudnione u Zamoyskich w Pałacu na Nowym Świecie w Warszawie.

Anna w czasie wielkiego upału wymoczyła sobie nogi w zimnej wodzie, a była bardzo rozgrzana i spocona, dostała gruźlicy i choć ją leczono, zmarła i pochowano ją na cmentarzu na Brudnie w Warszawie, o czym zawiadamiałam całą rodzinę. Zostałam więc bez siostry, było mi przykro i smutno. Gdy miałam wolną od pracy niedzielę, czasem udawałam się na spacer do Ogrodu Saskiego.

Pewnego razu, a dzień był wiosenny i słoneczny, idąc aleją, myślałam o zmarłej siostrze, nie patrzyłam na ludzi, siedzących na ławkach, żal mi było, że świat taki piękny, a Anna już go nigdy nie zobaczy.

Nagle jakiś żołnierz stanął przede mną. Spojrzałam, porucznik z trzema gwiazdkami, rosyjski oficer. Oczywiście zaszalutował i przedstawił się – Jestem Sasza Stühler – powiedział.

- Był grzeczny, proponował spotkania, na których mnie adorował i przekonywał o swojej miłości, którą i ja odwzajemniałam. Byliśmy zakochani. Okazało się, że jest niemieckiego pochodzenia, jego rodzice mieszkają w Petersburgu, tam, gdzie on się urodził. Po dwu miesiącach znajomości wzięliśmy ślub i przyjechaliśmy do Petersburga. Tu na świat przyszły moje dzieci. Sasza pracuje w wojsku, a syn Aleksander i córka Marysia chodzą do szkoły. Ot i czysto.

- A teraz ty mi opowiedz, jak żyją moje siostry Aniela i Zosia? –

- No cóż. Obie mieszkają razem w Michalowie, w tej naszej starej chacie, gdzie jest

zawsze czystko i schludnie, a często tłoczno. Anielka jest krawcową i znachorką, pomaga ludziom zwalczać choroby za pomocą ziół, pijawek, chińskiego grzybka oraz spalania Inu. Służy też radą. Zofia pełni rolę gospodyni. Ich otoczenie i dom tętni życiem, bo każdy człowiek znajdzie u nich poczęstunek, radę i pocieszenie, i za małe pieniądze Anielka uszyje w zależności od potrzeby, różne ubrania. Dookoła domu rosną wiśnie, a ogródek latem tonie w różnorodnych kwiatach i krzewach jaśminu. W ich lśniącym od czystości domu każdy znajdzie odpoczynek. Obie siostry przygarnęły i wychowały do pełnoletności sierotę, daleką krewną ze Skierniewic. Z Anielą koresponduje jej koleżanka ze szkoły Janka Kwiatkowska z Deszkowic, od wielu lat, mieszkająca w Kanadzie. Przysyła jej paczki, a nawet dolary. Cieszę się siostrami, bo mają szacunek i uznanie u ludzi.

Ale i ty Rózo, zaskoczyłaś mnie. Raduje się moje serce, że masz tak udaną i piękną rodzinę, tylko szkoda, że nasza siostra Anna tego nie widzi.-

Rozmowom nie było końca, często siostra z bratem rozmawiali do późnej nocy, do rozmowy włączał się też Sasza, mąż Róży i dzieci.

Najwięcej czasu poświęcili na zwiedzanie miasta.

Olśniewające i wyrafinowane piękno architektury, teatrów, hoteli, dworców, mostów na Newie, soborów, Ermitaża, fontann, licznych rzeźb, parków wywarły na zwiedzającym ogromne wrażenie.

Józef ciągle powtarzał:

- To wszystko jest wprost porażająco piękne. Nie mogę wyjść z podziwu. Znalazłem się nie wiem gdzie, na ziemi, czy w niebie? Gdzie ja jestem? Jak można było wybudować tyle tak potężnych i pięknych budowli, i tak wspaniale wszystko zaprojektować. Podziwiam tych architektów, urbanistów i wszystkich ludzi, którzy zbudowali miasto cara – Piotra I –

- Najbardziej zdumiewa -, wtrąciła się Róża, - że Petersburg zbudowano na bagnach, które zasypano ziemią, a budynki wzniesiono na palach. –

- Myślę, iż ci ludzie mieli siłę tytanów i niesamowite talenty, jak bogowie dokonali wielkich dzieł, - mówił Józek. - Wprost nie do wiary, że Petersburg jest dziełem ludzkich rąk. To wszystko zakrawa na cud. –

Ogromne też wrażenie wywarł na nim Ermitaż. Tu oglądali dzieła najlepszych artystów świata: Leonarda da Vinci, Rafaela Santi, El Greco, Claude Moneta, Camille Pissarro i innych artystów, nie sposób wszystkich wymienić.

Były to obrazy: Madonny z Dzieciątkiem, portrety postaci biblijnych i świętych, sytuacje, martwa natura, a wszystko naturalne, jak żywe, tylko dotknąć. Patrząc na obrazy, ulegali ich tajemniczemu urokowi.

Przy obrazie Caravaggia „Grający na lutni” siostra i brat zatrzymali się dłużej, by podziwiać urodę młodzieńca i odbicie jego przeżyć w muzyce tęsknej i rzewnej.

Z kolei patrząc na obraz „Pieta” Paolo Caliari, odczuwali ogromny smutek i współczucie dla Matki Bożej, która opłakiwała śmierć syna, Chrystusa. Oglądając coraz to nowe obrazy, brat z siostrą ciągle dzielili się swoimi wrażeniami.

- A wiesz Rózo,- mówił brat – przekonałem się, jak bardzo sugestywnie te dzieła sztuki działają na człowieka. Wprawiają w taki podziw, że czuję się jak zahipnotyzowany. Tu znajduję się w jakimś innym świecie, w świecie postaci z obrazów, ale myślę też o twórcach; o wyjątkowo utalentowanych artystach, o geniuszach, którzy, choć minęły wieki, przemawiają do nas i przemawiać będą do następnych pokoleń swoimi dziełami. –

Długo zwiedzali Ermitaż. Stamtąd udali się na odpoczynek do Centralnej Alei Letniego Parku, ozdobionej kopiami posągów antycznych z mitologii greckiej. Wieczorem wrócili do

domu. I tak przez kilka dni zwiedzali ciągle coś innego.

Pobył mojego dziadka Józefa Berdaka u siostry Róży Stühler przedłużył się do trzech tygodni.

Wreszcie z adresem do Wiktora Gołębiowskiego, polskiego emigranta z Lublina, wyruszył pociągiem do Orła. Znajomość języka rosyjskiego ułatwiła mu odnalezienie rodziny Gołębiowskich.

Było to małżeństwo w średnim wieku, mieli troje dzieci. Córka, Ola uczęszczała do szkoły podstawowej, a dwaj synowie Jerzy i Artur byli dorastającymi młodzieńcami.

Antoni Gołębiowski, krawiec z zawodu i jego żona Halina, gdy dowiedzieli się, że Józef Berdak jest Polakiem z Lubelszczyzny i bratem Róży Stühler, bardzo się ucieszyli, i ugościli przybysza, a nawet zaproponowali mu dwa dni pobytu w Orle dla zwiedzania miasta.

Miasto Orzeł, położone nad rzeką Oka, liczyło wtedy 100 tysięcy ludności, miało wiele uroku, zabytkowe prawie czterystuletnie budowle i pomniki, muzea, teatry, hotele, warsztaty usługowe, restauracje, sklepy, a wszystko w otoczeniu drzew, parków, kwiatowych rabatek, budziło zachwyt.

Podczas zwiedzania miasta, gdy dokuczał upał lata, obaj mężczyźni usiedli na ławce w cieniu drzew, by odpocząć. Antoni Gołębiowski ciągle wypytywał o Polskę. Gdy mężczyźni byli zaabsorbowani rozmową, oczywiście w języku polskim, nagle podszedł do nich jakiś człowiek. - O Boże, słyszę polską mowę ! Panowie, skąd jesteście? – zapytał. - My z Lubelszczyzny. Ja mieszkam od paru lat w Orle – rzekł Antoni. - A ja jestem spod Zamościa z Michalowa – powiedział dziadek. - Byłem u siostry w Petersburgu, a teraz poszukuję rodziny Pańczyków i spokrewnionych z nimi Kowalskich, Daniłowiczów i Szewczyków.

- Panie, masz Pan szczęście toż, to oni wszyscy mieszkają tam, gdzie i ja w dużej wsi, w Konubrach, 30km od Orła, a Pańczykom najlepiej się powodzi. - Jestem furmanką, mogę Pana zabrać ze sobą.- - Chyba Bóg mi Pana zesał – rzekł Józef.

Pożegnawszy się z rodziną Gołębiowskich, dziadek wsiadł na furmankę Tomasza Popielca i wyruszyli w dalszą drogę. Jechali przez rozległe przestrzenie, rozmawiając o Polsce i podziwiając piękno przyrody.

Dość duża wieś Konubry leżała w otoczeniu pól i lasów. Po dwu stronach drogi rozłożone były zabudowania. Przed okazałym budynkiem woźnica zatrzymał konie i wskazał ręką na dom, w którym mieszkała rodzina Pańczyków.

Dom, budynki gospodarcze i cały okólnik, ogrodzony drewnianym płotem, przypominały polską, dobrze utrzymaną zagrodę, świadczącą o dobrej kondycji gospodarzy.

Na odgłos otwieranej przez Józefa furtki, młode dziewczęta wybiegły przed dom. - Śmiech, uściski, krzyk radości, a nawet łzy towarzyszyły powitaniu. Ogromne szczęście Józefa i Katarzyny przepełniało ich serca. Padli sobie w ramiona, ściskali się i całowali, jakby dalej nie dowierzając, że to o czym marzyli jest faktem, że po trzech latach niewidzenia wreszcie odnaleźli się.

Cztery siostry Katarzyna, Marynia, Aniela i Teresa, a także ich brat Stanisław, przyjaciel mojego dziadka, oraz rodzice Zofia i Jan Pańczykowie byli zachwyceni i niemal wstrząśnięci tym, że zwyciężyła miłość.

Przybyli krewni i wiele Rosjan, pytali: - Co się dzieje? Kim jest ten młodzieniec? Wszyscy odpowiadali chórem : - Polak, narzeczony naszej Kasi, szukał jej trzy lata i dopiął swego.- Wtedy mężczyźni chwycili dziadka i zaczęli podrzucać do góry z okrzykiem: - Sto lat dla bohatera. Zwycięstwo miłości ! – Ludzi ciągle przybywało, niemal cała wieś uczestniczyła w spotkaniu.

Oczywiście był poczęstunek, gorzałka i piękne śpiewy: „Oczy cziornyje, oczy grustnyje i prekrasnyje, oczy cziornyje... kak lublju ja was, kak stregu ja was... „ a także „Wołga, Wołga, mać radnaja, Wołga ruska jarika...”

Ten dzień zapadł w serca młodej pary na zawsze, do końca swoich dni, zawsze sobie wierni, z przyjemnością wspominali to spotkanie po długiej rozłące.

Wkrótce, bo we wrześniu 1915 roku w kościele, w Orle odbył się ślub Józefa z Katarzyną. W uczcie weselnej uczestniczyli mieszkający w Konubrach Polacy i Rosjanie. Odtąd Józef stał się członkiem rodziny Pańczyków i razem z teściem i ze szwagrem pracował w kuźni. 1 stycznia 1917 roku urodziła się tam moja mama, Helena i wkrótce została ochrzczona w kościele katolickim w Orle. Niestety radość, szczęście i dobrobyt trwały krótko.

W 1917 wybuchła rewolucja październikowa. Pradziadka, właściciela gospodarstwa i kowala uznano za pomieszczyka (bogacza), na podwórzu, przed własnym domem rozstrzelano go, prababka zmarła na atak serca. Pochowano ich na cmentarzu w Orle. Gdy podpalono im kuźnię i budynki gospodarcze, musieli ratować swoje życie. Naprędce rodzina Pańczyków, Berdaków i krewni opuścili wieś Konubry. Podzielili się na dwie grupy, licząc, że ktoś z nich ocali życie i dotrze do Polski. Moja babka, Katarzyna z dziewięciomiesięczną córką Heleną oraz z dwiema siostrami Anielą i Marynią wracały do kraju pociągiem. Reszta rodziny i krewni udali się do Polski czterema furmankami. W drodze zatrzymywali ich czekiści, sprawdzali dokumenty, rewidując zabierali, co im się podobało. A gdy krewny rodziny Pańczyków Wincenty Daniłowicz nie chciał oddać koni, rozstrzelali go. W czasie tej podróży zmarła też żona Stanisława Pańczyka, zostawiając trzyletniego synka sierotą. Po wielu trudach i z narażeniem życia dwie grupy rodzin dotarły do Michalowa, babka z dzieckiem i z siostrami. Dziadek i reszta rodziny furmankami.

Żałowali nieżyjących rodziców oraz dwojga krewnych Feliksy Pańczyk i Wincentego Daniłowicza, których zwłoki zostały w ziemi rosyjskiej. Dziękowali Bogu za cud ocalenia i z trwogą wspominali straszną masakrę, którą zapamiętali na zawsze.

Życie trzeba było zaczynać od nowa. Z dawnego dobrobytu zostały tylko zaoszczędzone i dobrze przechowane ruble, za które dziadek kupił dom, zabudowania gospodarcze i 50 arów ziemi. Założył kuźnię i przyjął czeladników. Sam też został podkuwaczem koni u hrabiego Zamoyskiego. Tu przyszło na świat jeszcze troje dzieci: Stefania, Jan i Józef. Dziadek poszukiwał swej siostry Róży, jej męża i dzieci, niestety do końca życia ich nie odnalazł.

Rodzina była na dorobku, wtedy ziemia dla każdego mieszkańca wsi miała ogromną wartość, a dziadek mając czworo dzieci, chciał, by każde z nich wyposażyć ziemią, więc często kupował po kilka arów. Starał się również, by każde z nich zdobyło zawód.

Gdy dzieci dorosły, obie córki; Helena i Stefania wyszły za mąż również za kowali, a syn Jan też nauczył się od ojca rzemiosła i był mistrzem w podkuwaniu koni. Michał Malec, mój ojciec, wraz z teściem i szwagrem pracowali w kuźni mojego dziadka. A drugi zięć Lucjan Głowacki założył własną kuźnię. Młodzi małżonkowie z pomocą rodziców wybudowali własne domy i budynki gospodarcze.

A najmłodszy syn Józef studiował na UMCS-ie w Lublinie, początkowo był nauczycielem, a następnie kierownikiem zaopatrzenia w Tłuszczowni w Bodaczowie. Synowie również założyli rodziny. Dziadkowie doczekali się czworga wnuków i dwojga prawnuków. Dziadek zmarł w wieku 76 lat a babcia doczekała dziewięćdziesiątki.

Tak więc w najwięszym skrócie przedstawiłam kontakty mojego najstarszego pokolenia z Rosją.

A teraz kolej na następne związki, mojej najbliższej rodziny tj. ojca Michała Malca i mamy Heleny Malec, z Rosjanami.

Jest rok 1945, Niemcy wycofują się z Rosji i z Polski. Wtedy miałam 9 lat, gdy zawitał do naszego domu żołnierz radziecki. Przedstawił się, że jest Gruzinem pilotem, a nazywa się Jasza Jakowlew (Яша Яковлев) i poszukuje kwatery. Podobał mu się nasz domek z gankiem, więc chciałby u nas zamieszkać. Poinformował nas, że samolot „kukuźnik”, którym on lata jest na lotnisku w Klemensowie, tam też znajduje się jego sztab wojskowy.

Młodzieniec, w wieku ponad 20 lat był przystojny i sympatyczny, więc rodzice zgodzili się przyjąć go na sublokatora. Pamiętam to pierwsze z nim spotkanie.

Jasza wkrótce stał się członkiem naszej rodziny, wesoły dowcipny, często śpiewał, lubił tańczyć. Wnosił radość do naszego domu. Bywało tak, że lecąc samolotem, zniżał lot i krążył nad naszym domem, wtedy machaliśmy do niego rękoma, a on do nas. Proponował też mojemu ojcu, by przejechał się z nim „kukuźnikiem”, więc obaj poszli na lotnisko do Klemensowa, ale ojciec, gdy obejrzał z bliska samolot bez kabiny, nie odważył się na lot.

Jaszę, którego koledzy Rosjanie nazywali „Starszyna” czyli podoficer odwiedzał w naszym domu jego brat – lekarz wojskowy, Sasza Jakowlew.

Pilot zadomowił się i zaprzyjaźnił z nami i szukał sposobu, jakby pozostać w Polsce, co było jego wielką tajemnicą, tylko mojemu ojcu o tym powiedział.

Wkrótce za zgodą swoich przełożonych zajął się handlem. Kupował od chłopów tytoń i woził samochodem do Lwowa, gdzie sprzedawał, z czego miał zysk. On był zadowolony i plantatorzy także, bo otrzymywali zapłatę. Ze Lwowa przywoził produkty spożywcze i różne przedmioty, jak patefon, rower damski, zegarek itp. Kiedy wracał, zapraszał sztab oficerski na spotkania towarzyskie do naszego domu.

Wtedy mama piekła ciasto, kurczaki, gotowała bigos i podawała gościom. Przychodzili wyżsi rangą oficerowie. Rosjanom bardzo smakowały polskie potrawy.

Przez dłuższy okres czasu Jasza uskładał walizeczkę rubli, ale ktoś zapewne zazdrosny, że pilotowi dobrze się układa, zdradził go. Wkroczyło NKWD, zrobili w naszym domu rewizję, szukali wszędzie nawet i w budynkach gospodarczych, ale niczego nie znaleźli. Zabrali patefon i płyty, a „Starszynę” zaarrestowali. Zamknęli go w jednym z pomieszczeń folwarcznego magazynu w Michalowie.

A gdy na Boże Narodzenie, wysłana przez rodziców, poszłam do uwięzionego, by zanieść mu produkty spożywcze, nie pozwolono mi na widzenie się z nim, a w tym, co przyniosłam, szukali zapewne jakiejś informacji, rozrywając nawet pączki.

Jako już 9 letnia dziewczynka cierpiałam z powodu krzywdy, która go spotkała. A najbardziej wtedy, gdy przyprowadzono go w kajdankach, pod strażą, do szkoły, do której uczęszczałam. Podczas przerwy, między lekcjami zobaczyłam naszego pilota, jak szedł do kancelarii na przesłuchanie, omal nie zemdlałam. Ta sytuacja była dla mnie i dla moich rodziców ogromną tragedią, ale nie mogliśmy mu pomóc, byliśmy bezradni. Wkrótce wywieziono go do Lwowa i zapewne umieszczono w więzieniu.

Po latach dotarł do nas od Jaszy list, był zniszczony, pisany ołówkiem bez znaczka, zapewne komuś podany, bo nie przyszedł pocztą. Jasza pisał, że jest w więzieniu, ale po pieniądze wróci. Mama pieczołowicie strzegła cudzych oszczędności, a można było za nie kupić majątek. „Starszyna” już nigdy się nie odezwał. Po wymianie rubli pieniądze spalono w piecu.

Kiedy dorosłam i byłam już nauczycielką, poszukiwałam go poprzez gazetę „Prawdę”, bez skutku. Może zginął gdzieś w łagrach, bo gdyby żył, odezwałby się do nas. Rodzice, gdy żyli, często go wspominali, ja dotąd o nim myślę.

Wreszcie przyszła kolej na najmłodszych.

Nie tak dawno, moja córka Kasia, to już trzecie pokolenie, zaprzyjaźniła się z koleżanką Maszą (Marią) Aleksandrową z Orła, gdzie moi dziadkowie brali ślub i gdzie była chrzczona moja mama i gdzie na cmentarzu zostali pochowani moi pradiadkowie.

Kasia korespondowała z nią kilka lat, pisały o sobie, przesyłały fotografie, widokówki, kalendarze i inne drobiazgi. Jedna i druga chodziły do szkoły muzycznej, uczyły się gry na pianinie. Obecnie obie są dorosłe, mają własne rodziny i podobne zainteresowania. Kasia mieszka w Kalifornii, w Bueno Venturze, a Masza w Orle. Obie marzą o spotkaniu.

Dzięki znajomości mojej córki z Maszą, zawsze miałam i dotąd mam nadzieję, że pojedę do Orła i odwiedzę Konubry, miejsce, gdzie żyli moi przodkowie i gdzie urodziła się moja mama.

Jak widać życie dostarcza historii ciekawszych niż fikcja.

Różne są dzieje człowieka: jedne przez nas zaplanowane, inne zaskakujące, jakby przeznaczone przez los. Często towarzyszy nam radość, smutek, a nawet i rozpacz. Wszystko to dźwigamy na swoich barkach, ale nigdy nie należy się załamywać, bo warto żyć, choćby dla jednej chwili szczęścia, a tyle jest piękna wokół nas.

Zarówno w chwilach szczęścia jak i rozpacz zawsze należy mieć kontakt z drugim człowiekiem, bez względu na to jakiej jest narodowości. On wzmocni radość i osłabi cierpienie. Dzielmy się sobą, tym, co w nas jest, bo jesteśmy najlepszym lekarstwem dla drugiego człowieka.

Materiały:

- 1) Metryka urodzenia H. Malec w jęz. Rosyjskim wydanej w Orle w 1917r.
- 2) Archiwalne fotografie
- 3) Petersburg – Ermitaż
- 4) Petersburg – Widok na Newę.
- 5) Petersburg – Centralna aleja Letniego Parku
- 6) Orzeł – Oka i widok na miasto Orzeł.
- 7) Orzeł – muzeum W.A. Rusanowa





Józef Berdak



Katarzyna Berdak



Aniela Berdak



Róża Berdak-Stuhler, 1900r



Franciszek Szewczyk szwagier dziadka

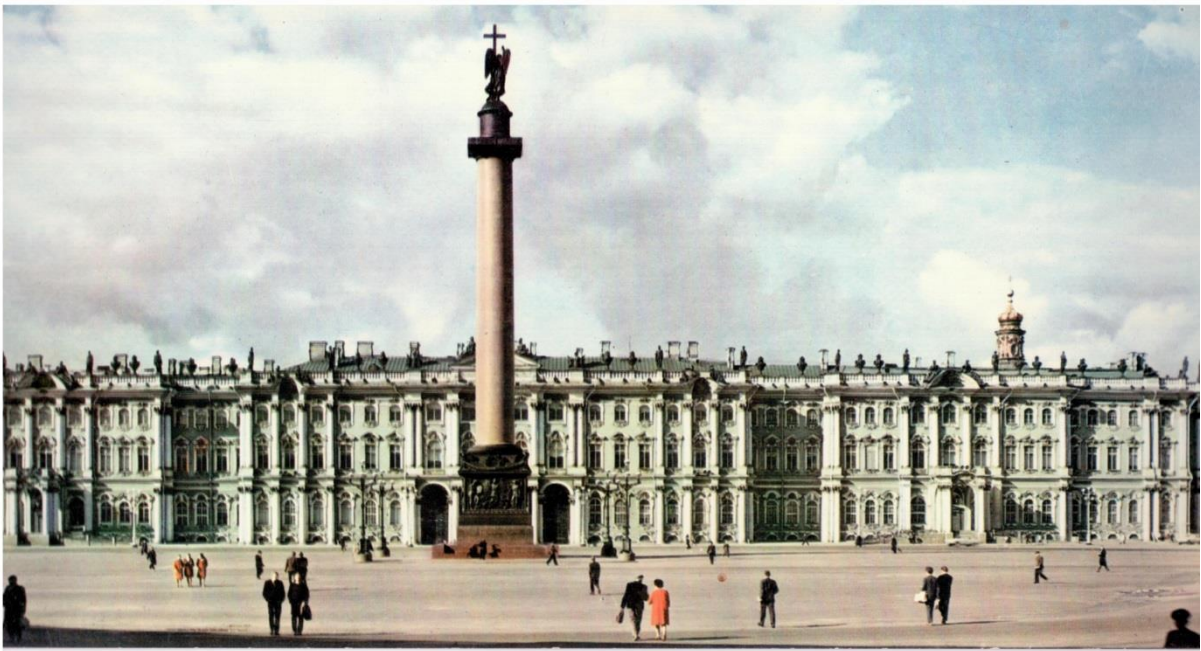


Helena i Michał Malcowie Jasza Jakowlew, 1945r





Petersburg Centralna Aleja Letniego Parku

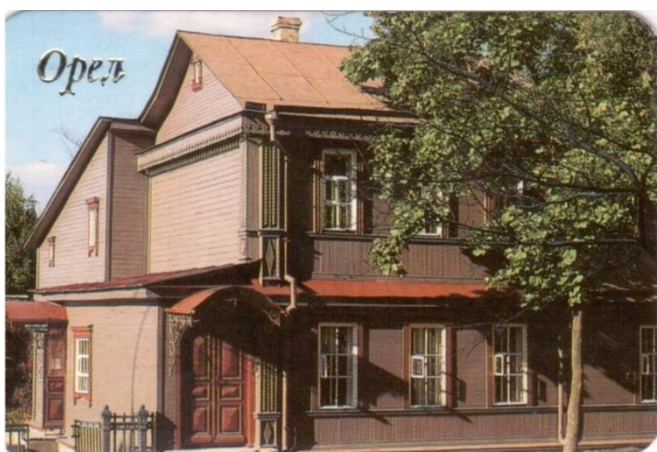


Petersburg Ermitaż Muzeum





Petersburg Widok na Newę



Orzeł, Muzeum W A Rusanowa



Oka i widok na miasto Orzeł



Metryka urodzenia Heleny Malec ,wydana w Orle w 1917r





Katarzyna Iwańczyk, 1990r



Maria Aleksandrowa, 1990r